

Dariusz Pawlicki

# Widzenia wyobraźni

Od strony bagna porośniętego sosnami zaczęła napływać późnopołudniowa listopadowa mgła. Początkowo miała postać wyłącznie rozciągniętych zwiewnych strzępów. Lecz stopniowo gęstniała i było jej coraz więcej. Mgielna awangarda minęła szpaler brzoź i osik rosnących na skraju bagna. Po czym zaczęła brać w posiadanie niewysokie wzniesienia pokryte łąkami (na jednej z nich pasły się dwa cielaki) i zaoranymi polami.

Widząc ten krajobraz – mało tego: uważnie go lustrując – zadałem bezgłośnie pytanie: Czy można wyobrazić sobie właśnie w tej, tak konkretnej scenerii, Pana, greckiego boga opiekującego się lasami i polami, a także pasterzami i ich stadami? Przedstawiano go jako półczłowieka: twarz, tułów mężczyzny i półzwierzęcia: nogi, rogi, ogon kozła. Jego atrybutem była syringa, nazywany też fletnią Pana. I z tym instrumentem przytkniętym do ust, ujrzałem go wówczas pośród mgieł. To znaczy udzieliłem (sobie) pozytywnej odpowiedzi na wspomniane pytanie. Słyszałem nawet jakąś melodię. Nie wiem wprawdzie jak brzmi syringa, ale do mych uszu dochodziły dźwięki, które zdawały się wydobywać z fujarki. A te są mi dobrze znane. Słuchałem ich bez przekonania i bez zachwyty. Inaczej jednak być nie mogło skoro moją wyobraźnię muzyczną, i to od wielu, wielu lat, wypełnia muzyka baroku (oczywiście nie wszelka) z bogactwem dźwięków pochodzących z wielu instrumentów.

Pan swym krzykiem, a także samym ukazaniem się, miał wywoływać pośród ludzi paniczny lęk (określenie pochodzące od jego imienia). Mnie jednak nie przeraził. Może był świadom tego, że to ja stoję za jego pojawieniem się w tym konkretnym miejscu. I chciał, żeby to „zjawienie się” nie było ledwie chwilą...

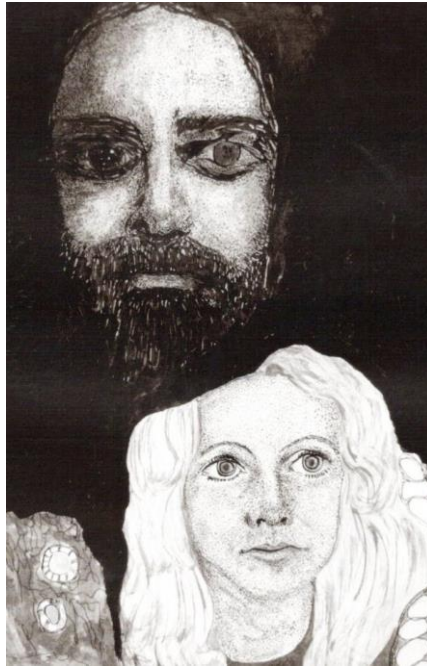
Do towarzystwa Panu dodałem – można to nazwać „dowyobrażeniem” – orszak nimf; początkowo czterech, ale bardzo szybko „wyczarowałem” kolejne cztery.

To moje widzenie nie trwało jednak długo. Kilkakrotnie zresztą traciło na wyrazistości. I to nie tylko za sprawą mgły, lecz również zmieniającej się intensywności wyobrażenia będącego jego źródłem. Aż w końcu, tych dziewięć postaci zaczęło powoli znikać, jedna po drugiej, z obserwowanej przeze mnie szerokiej sceny. Ostatnią był Pan. Najpewniej powróciły one do odległego w czasie i przestrzeni (przede wszystkim tego pierwszego) świata antycznych greckich wyobrażeń o świecie, jak też do greckich krajobrazów. A te drugie nijak mają się do polodowcowego krajobrazu współczesnej północnej Suwalszczyzny, jaki mnie otaczał. Do tego klimat, z jakim ma się do czynienia tu, na północy nie przypomina tego z Grecji kontynentalnej i z greckich wysp. To te „niepodobności” uniemożliwiły mojej wyobraźni snucie kolejnych

sekwencji opowieści mającej za bohaterów wspomniane postacie (możliwości wytworzenia kolejnych nie mogę wykluczyć). W związku ze wspomnianymi brakami, moja wyobraźnia najpewniej czerpała swą podbudowę z materiału ikonograficznego, z którym miałem wcześniej kontakt: ilustrującego teksty o tematyce greckiej, szczególnie tej dotyczącej antyczności. Miała również oparcie w obrazach olejnych – zwłaszcza tych powstałych w dobie baroku – o tematach zaczerpniętych z historii Grecji i greckiej mitologii.

\* \* \*

W dniu następnym, około południa, wracałem z ostepu leśnego o nazwie Przewroć. Tknięty jakimś impulsem zboczyłem nieco z drogi. I zszedłem na południowy brzeg jeziora Pogorzelec. Zatrzymałem się. Z nadjeziornych olch i sosen skapywały krople deszczu, który niedawno przestał padać.



Rys. Stefan Rusin

Przyglądałem się idealnie gładkiej tafli jeziornej obwiedzonej, na prawie całej linii brzegowej, szerszym bądź węższym, pasem trzciny. O tej porze roku w znacznym już stopniu zszarzały. A patrząc na te rosnące w zasięgu mych rąk, kątem oka zobaczyłem, na prawo ode mnie, pochyłą sosnę. I zerkając wielokrotnie, raz na trzciny, raz na owo drzewo, ni z tego, ni z owego pomyślałem o... Marsjaszu (Marsjasie), satyrze (istnieją źródła mówiące, że był sylenem). Zasnął on jako mistrz gry na aulosie (instrument muzyczny z grupy aerofonów stroikowych).

Według niektórych podań był nawet jego wynalazcą.

Marsjasz tak bardzo wierzył w swoje wyjątkowe zdolności wykonawcze – pewnie dała o sobie znać i próżność – że rzucił wyzwanie mistrzowi gry na kitarze (rodzaj liry). A był nim sam Apollo. Ów bóg przyjął wyzwanie, ale pod jednym warunkiem: zwycięzca zrobi z pokonanym, co będzie chciał. Pojedynek muzyczny odbył się na górze o nazwie Nysa. Góra o tej nazwie, w mitologii Greków umiejscawiana była w wielu miejscach znanego im świata (niejednokrotnie, także tych znanych im tylko ze słyszenia). Jednym z nich była Lidia położona w zachodniej części Azji Mniejszej. W tej to krainie płynie rzeka Marsjas, o której będzie mowa w dalszej części niniejszego szkicu. Więc to może właśnie tam Marsjasz zmierzył się z Apollem. Gdyby wiedział...

Jurorami byli miejscowi pasterze. Po zaprezentowaniu muzycznych zdolności przez obu rywali został wydany werdykt: arbitrzy, choć nie bez wahania, jako zwycięzcę wskazali Apolla. A ten niezwłocznie skrępował Marsjaszowi ręce i nogi. Po czym przywiązał go do sosny – niektóre źródła podają, że do płatana – i zaczął powoli uśmiercać – obdzierając ze skóry.

Gdy myślałem o czynie boga nie słyszałem już kapania kropel z igieł i nielicznych liści, ale przeraźliwe wycie – bo to nie mógł być krzyk – tylko i wyłącznie wycie z bólu.

Słyszał je Apollo. Nie mógł przecież nie słyszeć, jako że słuch miał doskonały. Tylko psychopata był w stanie to znieść i... ten właśnie bóg. Wycie Marsjasza, pozbawianego powoli i w okrutny sposób życia, nie przeszkadzało mu więc w żaden sposób. Może nawet upajał się tym, że jest jego sprawcą; że może nawet... regulować głośność i natężenie owego wycia. Tego nie można wykluczyć. Był bowiem bogiem nie tylko piękna, światła, życia, prawdy, prawa; patronem poezji i sztuki, ale także bogiem śmierci, któremu to tego nie była obca mściwość, zawiść i okrucieństwo. Tego ostatniego doświadczył – i to dosłownie całym sobą – właśnie Marsjasz. Ale nie on jeden był ofiarą boga uważanego za najpiękniejszego spośród bogów olimpijskich. Innymi było np. sześciu synów Niobe, których zabił z łuku – jego siostra bliźniacza Artemida (i jej okrucieństwo nie było obce), w ten sam sposób pozbawiła życia 6 córek owej królowej Teb. Rodzeństwo, jakoby, pozostawiło przy życiu jednego syna i jedną córkę. Według najbardziej rozpowszechnionej wersji tego mitu, Niobe miała bowiem czternaścioro dzieci, nazywanych Niobidami. Chełpiła się tym, uważała, że jako matka sprawdziła się o wiele lepiej niż bogini Leta. Ta bowiem urodziła tylko dwójkę dzieci; właśnie Artemidę i Apolla. I to one postanowiły pomścić matkę (istnieje